

D. mol.

THÈME VARIÉ

LWÓW, 1902.

KSIĘGARNIA POLSKA.

Thème Varié.

D. mol.

THÈME VARIÉ.

WYDANIE II.

Lwów — 1902.

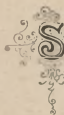


CM 314582

Z Drukarni „Słowa Polskiego we Lwowie, pod zarz. Z. Halacińskiego.

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. D1 nr 150 /2011/ CM

 Szukam słów srebrnych i jasných jak pył blasku
od gwiazd bożych mżący...

Szukam słów nieuchwytných jak woń —
i jak błyskawice ciche, w ciemności gasnących...

Szukam ich, bo wiem, że tamtych, wy-
mówić niewolno mi nigdy, ani wśród nocy głuchej,
ani po dniu jasným.

Słyszę je, lecące z brzękiem, jak rój pszczół
srebrnych, jak mglisty majak, w przestrzeni
zbląkany, — ale są jeszcze wysoko.

O dźwięcząca mgławico myśli, które jak
gwiazdy spadające, odrywają się od stropu duszy
mojej i gasną — oświecać jej migotem swoim
bladym — nie śmiejąc!

O błędny roju słów, które przytułku nie
znajdą nigdy!

O srebrny roju słów!



THÈME VARIÉ

Uciekam przed tobą — a zewsząd widmo
twojej postaci wychodzi mi na przeciw.

Jesień, znowu jesień!

Zbudź się duszo moja! Idą dni twoje Zadu-
szne, idą sennie, pełne cierpkiego zapachu umie-
rających liści, w przedśmiertnej łunie ogrodów
skapane, co krasę swoją, ognistą krasę swojej
młodości, deszczem złotych i krwawych stygma-
tów, na krzepnącą ziemię kładą...

Zbudź się i na sarkofagi pragnień swoich,
na samobójcze mogiły swoich zastygłych myśli,
rzuć, jak co roku, garść złotem szeleszczących nie-
śmiertelników, garść pieśni przesiąknięch płaczem
i proś Boga duszo moja, aby te śpiące od lat my-
śli i pragnienia twoje, — nie wstały więcej.

Niechaj im światłość wiekuista wspomnienia
tego świeci, co oto dziś znowu, na fali dzikich,
jesiennych zapachów, przychodzi do ciebie! —

Światłość — i cisza. —

Jesień! Mgły się nad ziemią wleką, ciężkie,
senne i światła w nich Zaduszne migocą... —

Oto i ja palę światło, własnej mojej duszy,
przezyste, drżące światło, we mgłach jesiennych
rozpalam — i pamiętam...

Uciekam przed tobą a zewsząd widmo twej
postaci wychodzi mi na przeciw...

* * *

Stulistna róża mego serca, padła ci przed
stopy i przeszedł po niej cień twój, — nie wie-
dząc, że dusza moja wyszła z niej właśnie ku
tobie, — różanej woni pełna.

Stulistna róża mego serca, w pył i proch się
rozpadnie, — ale woń, co się westchnieniem
lotnem z kielicha jej podnosi, obłokiem wiecznego
zapachu owiewa twoje czoło, — aby przez życie
i wieczność — iść odtąd za tobą — za tobą...

I jeśli będzie w tobie cisza i jasność —

I jeśli będzie w tobie moc — a słodycz,
z niej ci to przyjdzie, z tej woni!...

* * *

W mgłach nadpolnych, korowody cieni ja-
kichś się wleką i pieśń dziwna, z jęku jesiennego

wichru i szumu czerniejących lasów złożona, leci nad nimi.

Dźwięk jej mocny i śmiertelnie piękny, targa mi serce — i czuję, że długo jej słuchać nie zdołam.

Jakieś szepty lecą do mnie wskrós zwiędłych drzew, jakieś wołania... Nie odwracam głowy za nimi, wiem, że nie ty powracasz, nie ty mnie wołasz, jeno zima idzie długa — a ciężka.

*

O ty głosie rozwiany w mrokach przeszłości, ty smutny głosie, coś mi dźwięczał na nutę kochania i wiosny! Gdzie jesteś?! Nie do mnie ty wrócisz, nie mnie zawołasz, — jeno zima przyjdzie długa — a ciężka!

Uciekam przed tobą — a jednak wracać znów muszę i wiem, że nad tę twoją smutną, zmęczoną twarz, nic miłszego nie ma dla mnie na świecie!

Nad te twoje oczy, jak od blasku wielkiego zmrużone, nad te twoje usta, które nigdy, — nigdy...

Jest bowiem w twojej urodzie, jakiś słodki powab jesieni naszej, jakieś zadumanie naszych łąk...

Jest na twoich włosach, słoneczny połysk naszych zżętych pól, pajęczyną srebrną osnutych...

I jest w twojej duszy, cały wielki, pierwotny smutek naszej ziemi, cała jej ogromna, tragiczna piękność — i ból.

Więc patrzę na ciebie, jak na jakiś kwiat boży, co oto przed oczyma memi okwita i wiem, że prócz mnie, — nikt tak nie patrzy na ciebie i jest mi gorzko i jasno zarazem.

To, co w tobie najgłębsze i najpiękniejsze, co w tobie naprawdę boże i wielkie, to nie światu, jeno duszy mojej świeci, nie ludziom, jeno tej jednej duszy ludzkiej, co oto bezwolna, jak cień urokiem zakłęty, wdzięczny i wierny, w świat myśli idzie za tobą...

*

Słyszę już jej kroki szybkie, chrzęst wrzósów deptanych jej stopą i jęk umierających kwiatów słyszę, przeciągły, — rozpaczny... Czuję, że jest już blisko...

Oddech jej mroźny, co z wichrem leci, motyle zabija ostatnie, na mchy z powietrza je strąca i ciche, do zwiędłych ziół podobne, na zmartwiałą ziemię rzuca. Za chwilę będzie już przed progiem...

*

*

*

O maro, maro młodości mojej! To ty, zawsze ty!... Patrzę w przeszłość, na twarz twoją i płacz jakiś głuchy, wstrząsać poczyna moją piersią...

„Twój czar nademną trwa...”

Wyczerpują mi się słowa własne, jak kwiaty rzucane na falę i jak fala kwiaty, tak mi te słowa moje, echo z powrotem odnosi — nie-słuchane, jak kwiaty, z fali przez ciebie nie zdjęte...

O cieniu ty marny, nieodplakany cieniu!...



PRELUD

Nie mówiliśmy nigdy o tem, ale ty wiesz o wszystkim...

Wszak wiesz, że ci się dusza moja w proch przed stopy rzuca, z jękiem w niebo lecącej pieśni, której nikt nie rozumie, ani słucha, — prócz ciebie...

Jak wieczną lampę przed obrazem, tak rozpala serce moje, ten rubinowy płomień chmurnej pamięci mojej, przed widmem twej postaci...

Płonie i drży to krwawe światło i rzuca się czerwienią refleksów na blade kwiaty, rosnące w ciszy jesiennych wieczorów, gwiazdziste kwiaty astrów — pieśni...

Niema cię może wcale na świecie, ale są moje pieśni o tobie.

Nie zjawisz mi się nigdy, ale ja czekam na ciebie, jak na pewną i niezawodną — Śmierć...

Nie wiesz o mnie — a nieopuszczasz mnie jednak i czuję zapach jesiennych fiołków, wlokący

się za tobą jak welon i woń ta wiąże mnie z życiem.

Nigdy wiosenne fiołki nie pachną tak mocno, tak boleśnie, jak te październikowe, — ostatnie.

*

Nie wiem czy jesteś dźwiękiem, czy zapachem, czy duszą ludzką, — dość, że jesteś czemś na wskrós czystym i dalekim, czego nikt nie posiada dotąd, ani ja nawet, — choć ja tylko wiem o tobie i — czekam cię.

Głos twój, czy westchnienie, słyszę w chrzęście zwiędłych liści i boję się stąpać po nich...

Zdają mi się być czemś żyjącem, jakimś znakiem pamięci, obecności — twojej...

Te złote, uschłe liście, to słowa, których nigdy usta twoje nie wyrzekły do mnie a które mam usłyszeć kiedyś, — później.

* * *

O serce moje! Ty chmurne serce, co kwitniesz jak blada orchidea w powietrznych krajach swych marzeń! Tak samo jak one, żywisz się wi-

dokiem ziemi, której nie tykasz i kwitniesz, soków z niej w liście nie biorąc...

Wiem, że Bóg myślał o tobie, kiedy mnie stwarzał, wiem, że cię gdzieś nazwał nawet. Imię to drga ognistemi głoskami w mojem sercu — a gdzieś, ktoś, — wymawia z łatwością to imię, którego ja, — przypomnieć sobie nie śmiem.

* * *

O lilie, białe lilie wodne, jakżeście wy do marzeń moich podobne!

Stopy wasze jak moje, więzną w innym świecie od tego, w który dążą myśli moje kwiaty wasze!

Muzyka fal, jest dla was muzyką wspomnień moich, co was na cichą, chłodną śmierć kołysze, a mnie śpiewa jakąś posępną baladę, pełną księżycowego blasku i zapachu fiołków.

*

Niema cię, czy jesteś, — to dla mnie jedno!

Przeczuwam cię i żyję tobą, — to mi wystarczy...

Przecucie wieczności rozjaśnia nademną
skrzydła swoje błękitne i sypie mi gwiazdy w du-
szę.

Ja ich nie podnoszę. Wiem, że kiedyś, póź-
niej, będę ich mieć więcej niż kwietnego pyłu na
skabiozach górskiej łąki i wszystkie te gwiazdy
lejące do mnie, — tobie przekazuję...

Gdyby cień twój był rzeczywistością, życie
moje szłoby inaczej. Jesteś jednak niczem, snem,
marą, zapachem, dźwiękiem, tem, czego ująć nie
można, ani swoim nazwać i dla tego sypie się
na mnie popiół idących lat i przysypie mnie wresz-
cie — zupełnie.

Nad mogiłą popiołu stanie kiedyś myśl twoja
i szepnie ci:

Szkoda!



Z KOLEĐĄ

Tam daleko, — świeci słońce i wielkie kwiaty kwitną.

Tam daleko, — szafirowe jezioro leży u twoich stóp i nigdy nie wędnące bluszcze do okien ci patrzą...

I pachną róże...

A tu — śnieg pada i ściele się na pola, jak biały, srebrem tkany obrus, świat do mistycznej jakiejś Wigilii sposobiąc...

A tu śnieg pada i gwiaździstym swoim puchem zasnuwa świerki i krzepnie.

Czy przyjdiesz ty, na Gody o duszo?

*

Nizki jasny pokój, pełen zapachu sośniny i jabłek. Zielone drzewko w migocie świeczek stojące i kolęda dziecinnych głosów...

*

O gdyby tak można, gdyby można, ujrzeć
 cię tu nagle, na tle migocącej choiny! Gdyby cię
 można w ten wieczór tajemniczy, cudowny, ujrzeć
 na chwilę i płakać potem długo, po ciemku, —
 po cichu, — na zabój! —

* * *

Noc mroźna grudniowa, pełna mgieł iskrzą-
 cych w powietrzu... Na niebie czystym księżyc...
 Szeroka, biała droga pośród lasu.

Olbrzymie świerki stoją w zawałach śniegu,
 jakiejś drużynie posągów białych podobne, z ra-
 miony pod ciężarem puszystych błamów zwisle-
 mi, niby rzeźby pierwotne jakichś bożyszcz daw-
 nych, w czarach tej srebrnej nocy wstające.

Stoją tajemnicze, w lodowatych gronostajach
 śniegu, w brylantach koron swoich zakrzeple, —
 ogromne...

*

Droga iskrami mroźnych pyłów zawiana,
 w świat za oczy gdzieś wiedzie.

Droga, którą nigdy nie szłaś do mnie.

Droga, którą nigdy nie przyjdiesz — o du-
 szo!

*

A na niebie, przyćmiona błękitną luną księżycyca iskrzy się gwiazda biała, igłami promyków świecąca, — ta sama, co wtedy dawno, — ta sama...

Za promieniem tej gwiazdy królewskiej, wstęgą drogi białej i lśniącej, w nawę zamarzonego lasu, — szczęściu memu, wychodzę oto na przeciw!

*

Cisza, — czasem tylko pryśnie coś nagle, jak iskra na śniegu gasnąca, czasem zachrząści coś z cicha, — jakby się te drzewa leśne, w powadze uroczystej nocy stojące, białym opłatkami między sobą łamały...

*

Prędzej mi na tym śnieżnym całunie, złota paproć najkrótszej nocy zakwitnie, prędzej ta gwiazda mistyczna, ogromnym brylantem przed stopy moje upadnie, — prędzej się księżyc, ludzką, miłościwą uśmiechnie do mnie twarzą, niż ty mi się spełnisz, — o bajko!

Bajka, wszystko bajka...

A las stoi cichy, zasłuchany w zaświatowe jakieś kolędy i tylko się pyły mroźne palą na

śniegach, — tylko księżyc płynie po niebie jasny, biały, do Hostyi tajemniczej podobny...

*

A jednak płacze mi dusza na głos, a jednak za tym najbielszym snem mego życia, ręce wyciągam i wołam go i czekam, — daremnie! —

Bo jednak nie wszystko jest bajką...

A noc taka kryształowa, taka jasna, że mogłyby się dziać cuda tej nocy!

W takie wielkie święto, jakieś wielkie szczęście... Szczęście czyste jak te śniegi i jak te szrony chłodne, krótkie, smutne szczęście przelotnej godziny, takiej godziny, którą się żyje lata całe, z której się czerpie siłę i blask i lot — i ukojenie...

Wielkie, oplakane, beznadziejne szczęście!

*

A nad ziemią jest noc błękitna, po domach jarzą się blaskiem choiny, niskie sufity dworów drżą echem kołęd a ściany chat najlichszych rozszerzać się zdają weselem.

*

*

*

Tą białą, gronostajem śniegów wysłaną drogą, przyjść możesz do mnie tej nocy...

Każdej godziny się zjawić — a z tobą całe rozśpiewane niebo, otworzyć mi się może na ścieżaj!

Każdej godziny — a z tobą cała moc duszy mojej, cała jej treść przedwieczna!

A więc cię wzywam, całą tą mocą, całym wysiłkiem myśli, całą tęsknotą niewybuchniętych płaczów!

A więc cię wzywam, ogromnym akordem zamilczanych pieśni, srebrną melancholią mroźnej, grudniowej nocy i grzechem słów tych cię wzywam!

— Przybywaj!

I poleciał dźwięk mojej myśli, drąc się na skamieniałych koronkach szronu, na stalaktytach lodu się łamiąc, w kryształową otchłań przestrzeni — i przepadł gdzieś, — o gwiazdy boże roz-bity.

*

O takiej godzinie niegdyś, — śpiewał chór śpiewaków niebieskich, słodką zaświatową kolędę,

O takiej godzinie teraz, wielka cisza na niebie, wielki chłód i pustka; tylko zmęczone myśli ludzkie, obłąkanym nietoperzom podobne, ranią sobie skrzydła — o gwiazdy...

O nocy tajemnicza, o milcząca nocy!...



RONDO CAPRICCIOSO.

Z trzepotem złotych skrzydeł, usiadła na pniu zwalonej burzą jodły, którą pleśnie blade powlokły, siecią oplątały ożyny i paproć jasnopióra obrosła.

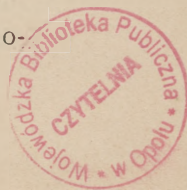
Cicha, wonna noc majowa.

Z za drzew, prześwieca księżyc duży, jakby o cienkie szpilki sosnowych gałązek zaczepiony i jasną swoją, pogodną twarz zwraca ku niej i patrzy na nią, taką śliczną i rozbawioną, nie świadomą, że to jego spojrzenie właśnie, nieci światelka na pyłe barwnych jej skrzydeł i w oczach mieniające iskierki rozpala.

Ach! jaka ty jesteś śliczna, ty leśna, konwalia pachnąca duszyczko! Patrzę w twoją twarz drobną i białą, w pustoty pełen uśmiech i napatrzeć ci się nie mogę!

Tańczmy dalej!

Kwitnące konwalie dzwonią z lekka, majo-



wa ruń polany, miękkim kobiercem pod stopki się
twoje ściele, serce moje takt poda muzyce...

Daj mi rękę, ty śliczna, ty lotna, ty wonna!

* * *

Nie chcesz?... Czemu twarz twoja zbladła
nagle, jak płatek śnieżnej czeremchy?... Nie bój się
mnie... To tylko fantazyja moja tańczy z tobą
w tę jasną, majową noc! Oddech mój nie owio-
nie kwiatowej twojej twarzy, ani cię muśnie dłoń
moja gorąca... Wierz mi! To tylko myśl moja
idzie w ślad bosych twoich stopek... Nie bój się!

Nie chcesz?...

* * *

To on!... Widzę go. To król elfów...

Tak. On jest piękniejszy od mojej fantazyi
nawet. Ten blady, smutny, król duchów leśnych,
w którego twarzy toną oczy twoje, ciemne, urze-
czone, do stawów tatrzańskich podobne.

Jest piękny jak bajka, jak pieśń, jak ta noc
majowa, księżycem pełnym srebrna.

I czemże jest wyobraźnia moja, w obec tej
jasnej, zjawiskowej postaci? Czemże głos ludzki,
w obec tej pieśni, co oto jak potok dźwiękiem
wezbrany, powietrzem płynąć poczyna?... Czaro-
dziejska pieśń elfowa!

O lesie zaklęty, o nocy zapachem duszna,
upajaj mnie i urzekaj, swym czarem!

*

Król elfów gra,

Płynie pieśń elfowa, płynie jak westchnienia
uśpionych na łąkach kwiatów, sypie się słowiczem
łkaniem na rosę nocną, otwiera stulone kielichy
leśnych dzwonek i napelnia je dźwiękiem swoim,
jak miodem...

Płynie pieśń elfowa, cicha zrazu i nieuchwytna,
aż nagle, — grzotem potężnych tonów wy-
buchu... Słysząc w niej wycie jesiennego wichru,
jęk burzą walonych dębów, plusk deszczu sieka-
cego powierzchnię stawu, krzyk ginących od pio-
runa orląt, słysząc w tej pieśni...

Cały las trzęsie się od niej. Ptactwo budzi
się na gniazdach, na zamku zaklęta, przez sen —
uśmiecha się królewna, a dusza moja drży i om-
dlewa, od ogromu piękna, które ją przenika...

*

Król elfów, jasną swą głowę, o biały pień
brzozy opiera, do ust zaklętą fujarkę podnosi —
i gra.

Płynie pieśń elfowa. Jak płatki róży sypią się jej tony słodkie a mocne, miękkie a groźne zarazem, sypią się w serce twoje, ty wonna, leśna duszyczko, aby ci je z piersi, tańcem jeszcze i pustotą drżącej, — zabrać na zawsze!

Płynie pieśń elfowa i mówi ci o tem, czego niema na ziemi ni w świecie, szepce o tem, czego nigdy nie dosięgniesz w życiu, w twojem mar-nem, konwaliowem życiu, czego z duszy swej wątlej nie wydrzesz, o czem nigdy zapomnieć nie zdołasz — a mówi tak cudnie!..

Leśne dzwonki chylą kielichy, łez czy rosy pełne, a z pieśni, co zgasła w powietrzu, dech jakiejś tęsknoty ogromnej, wionął po lesie...

Podnosisz oczy ku mnie, ty smutna już od-tąd i urzeczona i wiem już, że nigdy więcej, fan-tazyja moja nie pójdzie tańczyć z tobą, w taką ciepłą, majową, księżycem wysrebrzoną noc!

Zasłuchasz się na śmierć w echa elfowej pieśni i żyć niemi będziesz zadumana, nadludz-kiem jej pięknem zakłeta i darmo świecić będzie księżyc na pył złotych twoich skrzydeł, daremnie siostry wołać cię będą do tańca!

Twoja dusza poszła już w przestwór bezbrzeżny, za tą pieśnią królewską i szukać jej od-
tąd będzie w śpiewie ptaków leśnych, w chrzęście
szuwarów rozchwianych nad topielą, w łopotach
orlich piór, w grzmocie piorunu lecącego wśród
turni — a co nie będzie jej echem, niczem będzie
dla ciebie...

O duszo skrzydlata! O pieśni elfowa!...



W SWIĘTOJAŃSKĄ NOC.

Dziś, dziś się dowiem...

W głuchą, czarną noc letnią, powie mi las
czy to prawda,

W głuchą zaczarowaną noc, kiedy z zapa-
rym oddechem stoją drzewa,

W zaczarowaną, krótką noc, przez którą nie-
bo z pożogi słonecznej nie stygnie,

W jedyną noc, kiedy echo śpi.

Oprócz mnie, nie usłyszysz nikt, — nikt. —

Pójdę,

Tędy łąką. .

Nie widzę nic, ale ja wiem, że to tędy...

W chłodną czarną próżnię, wyciągam ręce
przed siebie, ku tej nieznannej jeszcze prawdzie je
wyciągam, ku tej prawdzie, którą mam usłyszeć
tej nocy i w sobie zawrzeć na zawsze a której
oprócz mnie, nie usłyszysz nikt, nikt.

Cisza. Wszystko czeka na coś, wszystko słucha, nawet kwiaty nie pachną, boją się odychać...

Ciemno, ale ja wiem, że to tędy.

Znam przecie tę ścieżkę wąską, wskrósź pól biegnącą i czuję rosę leącą mi z kłosów na ręce.

A teraz równia, otwarte pola i szeroki oddech przestrzeni...

Zboża zostały już po za mną.

* * *

Co to?!... Ktoś, gdzieś... Organy? Wyraźnie organy. Tak. Wiem już.

Raz dawno, — zapadł się kościół. To tu. Woła, w głębię, pod ziemię...

Cicho, cicho, zejść, — ale nie teraz, aż z lasu wrócę, aż się dowiem...

Zapadły kościół.

Różyce barwnych okien i promień słońca przestrzelony przez kolorowe szkła. Powiędłe, chorażwane płachty, drgające kryształy pajaków, srebrna lampa i czerwony lotus wiecznego płomienia w tej lampie...

— Ołtarz, przed którym dawano raz ślub...

Zapadło się wszystko. Zapadło się tak nagle że promień słoneczny nie zdążył uciec, tylko jak

strzała złota złamany, zapadł się razem i świeci
tam, gdzieś, w głębi...

Tędy łąką...

Czuję wrzosa gnące mi się pod stopą i woń
lasu mnie ogarnia żywiczna.

Luna spalonych przed wiekami ognisk ku-
palnej nocy, wisi na niebie i czuję w piersi żar
przed wiekami pogasłych ogni...

Świąteczny zapach piolunu i ruty, kadzidło-
wy zapach dziewanny i mięty, dymna woń obrzę-
dowych ziół, dusi mnie za gardło...

Oblędna, krótka noc,

Świętojańska noc,

Dziś, dziś...

Noc, przepalona skwarną pożogą płomiennych
upojeń,

Noc, przepojona duszną wonią odwiecznych
pragnień, odwiecznych i wiecznie trwałych pożądań,
które się ostały w powietrzu, choć proch nie ostał
się z tych, którzy dyszeli niemi — ongiś...

Noc, w którą na płaskie glazy uroczyska,
schodzą się stare bogi i radzą,

Noc, w którą wolno rzucać w przestrzeń
czarną, słowa jak łyż gorzkie i jak łyż palące,

Słowa szalone, które usta do krwi ranią
i na przepadle lecą,

Słowa bolesne a słodkie, jak ostatnie zapachy
jesieni,

Słowa pełne zadławionych jęków, które
tylko ta noc czarna rozumie...

Noc zatajona w sobie, niema, nadsluchująca,

Oblędna, krótka noc,

Dziś, dziś...

*

Dziś, ze zgliszcz kupalnych ogni, wstać może
że pieśń wielka, porwać się może od ziemi, niezaczęta,
nieskończona, niewyśpiewana pieśń!...

Duchy ludzkie z ust do ust, podają sobie
słowa jej nieśmiertelnej treści, słowa pieśni przedwiecznej,
przez zawieruchę pędzących stuleci,
z cichym deszczem konających godzin lecącej,
pieśni, co nie zaczęta i nieskończona, gdzieś w głębiach
wszechświata, o słońca nieznane, bije skrzydłami
nieobjętej bezkresnej tęsknoty...

O pieśni ogromna, niewyśpiewana pieśni...

*

Patrzę w głąb lasu. Stoi niemy i martwy.

Patrzę weń, jak w czarną nawę zapadłego kościoła i chwyta mnie lęk...

Wejść, — trzeba wejść...

A jeśli ten las będzie milczał, jeśli mi nie odpowie, jeśli zatai w sobie to, co wiedzieć pragnę?

A jeśli ten las będzie mówił, jeśli mi tę pieśń duchów ogromną objawi, jeśli się jej dźwiękiem spiżowym, rozkołysze nademną, jeśli mi oczy blaskiem jej treści porazi?!... Czy znajdę w sobie dość mocy by słuchać?!

W dziwnym, niby z pod ziemi bijącym brzasku, smukłe pnie sosen stoją jeden przy drugim, niby zwarte flety organu...

O nocy Świętojańska,

Oblędna, krótka nocy,

Mów, czy to prawda?!

* * *

Dziś, — dziś, powiedział mi las, że —
nieprawda...

W głuchą, zaczarowaną noc, kiedy z zapartym oddechem stoją drzewa, przeleciała nademną ta pieśń czekana, jak stado ptaków ogromnych, zaszumiała mi nad głową, ptaków, których

każde skrzydło jest napiętą i na wicherze grającą harfą..

Przeleciała nademną ta pieśń, jak światło szybka, jak światło niepochwycona, nieujęta, przebrzmiała...

Ogromna, nieśmiertelna pieśń!...

W zaczarowaną, krótką noc, przez którą niebo z pożogi słonecznej nie stygnie,

W jedyną noc, kiedy echo spi,

Oprócz mnie, nie słyszał nikt, — nikt...

Wróć,

Tędy łąką...



BALLADA.

Gorący, — długi pocałunek, kładę na twoich ustach!

Zbudź się królewno!

Są one chłodne, te usta twoje, jak ów głóg koralowy, jesienny i jak on purpurowe.

Rozchyl-że je uśmiechem!...

Co to?!... Spisz jeszcze?... Czy nie godzien jestem spłoszyć z ust twoich zaklęcia?

Na gobelinach głębokiego krzesła, jaśnieje twarz twoja biała, przędzą jasnych włosów opłynięta, słodka, senna twarz zaczarowanej królewny...

Ocknij-że się...

Spalaś już przecie dość długo, tyle zim i wiosen, a oto letnia teraz pora na świecie, zboża kwitną, bławatów pełne i powoju.

Wstań-że, już czas!

Wirydarz twój miast ziólek wonnych, dziki chwast zarasta, pająki na kołowrotku twoim przędą a świerszcz polny, z wnętrza luteńki się twojej odzywa...

Otwórz oczy, — niech mi zakwitną na białej twojej twarzy, do kwiatów lnu podobne, boć pewno niebieskie być muszą!...

Śliczne są, te twoje długie, cieniste rzęsy,
ale je podnieś nareszcie i popatrz na mnie,
Senna królowno moja!

*

Posłuchać jeno zechciej a opowiem ci, przez takie ostępy, przebojem tu szedłem do ciebie, ile rwących strumieni rzuciło mi się przed stopy, ile borów czarnych zachodziło mi drogę, przez jakie turnie skaliste piąć mi się było potrzeba, ile czarów pokonać, — zanim ów jaszczur złotołuski ogniem na mnie zionął u bramy!...

Wyjrzyj jeno okienkiem a zobaczysz go tam w dole, pod wieżą... Na purpurowej podścieli krwi własnej, w czerwcowem się tam słońcu rozciągnął, — tyle, że ciepła już jego nie czuje!

Widzisz mój miecz zbroczony? — dla ciebie to on, krwią gadu srogiego opłynął!

Królowno senna, zaczarowana królowno!...

*

Więc nie zbudzisz się? Nie otworzysz oczu

Czyżby sny twoje piękniejsze być mogły od życia!

Rozwieram okno na ścieżaj... o, jak skrzy-
pią rdzą przeżarte zawiasy... Gdybyś jeno wyjrzała
na świat, gdybyś raz rzuciła oczyma na tę dale-
kość błękitną, na ten przestwór słoneczny... Ile
tam miejsca na szczęście!... Hej!... Czujesz zapach
pola i macierzanki? Słyszysz fujarkę, gdzieś na łą-
kach dzwoniącą?

Słyszysz! o, przecie, jasne zadrżały ci rzęsy
i budzisz się, — o przecie!

*

Wielkie, ciemne, zaczarowane oczy, patrzą
na mnie w zdumieniu.

Z czią należną królewnej, uginam przed
tobą kolano i czoło kornie do stopek twoich do-
stojnych pochylam.

Jak dziecko małe i wylękle, patrzeć poczyna-
sz na mnie, jak sarna schwytana a bezbronna.

— Już dzień, — już dzień? — szepcą usta
twoje, do głogów jesiennych podobne, w bezgra-
nicznem bezbrzeżnem, zdumieniu.

— Żalim noc całą przespała?! I ktoś ty jest
rycerzu, w komnacie mojej?... Odpowiedz!

Żali ty wieści przynosisz mi, z pola?...

I z głębi miękkiego krzesła, w którym cię ów sen stuletni przychwycił, na poręczach jego wsparta, wychylasz się cała ku mnie, jak ciekawo rozkwitły nagle kwiat.

O kim wieści królowno?!

— Więc nie wiesz? Nic nie wiesz rycerzu?

Wiem jeno, żeś ty piękna jak lato, jak pieśń i żeś ci serce moje, u stóp położyć gotów!...

*

A!? — ślubowałaś innemu... A tak! —

Pamięć — ? Pamięć tylko?! I czekasz przecie? Czekasz aż wojna minie?! Hej, ty nie wiesz, że się ta wojna skończyła dawno, przed wiekiem!

Czar padł na ciebie o wieczornym mroku ongiś, — przed lat całym różańcem a oto zbudzona teraz mniemasz, że to było wczoraj..

Nie wiesz, że ten, którego czekałaś tak długo, spi już sobie dawno, snem mocnym i zasłużonym, gdzieś — w głębi polnych kurhanów, lub w chłodnej krypcie świątyni; spi sobie twardo, z rękoma w krzyż na piersi złożonemi i nie przyjdzie, nie wróci już nigdy królowno!

— Żali ty prawdę mówisz rycerzu? Nie bajka-li, to nie złuda?

Jako się ta rzeka sina, wstecz biegu nie wróci, taka prawda słów moich, królewno!

— Krew jego, lekkim kwieciami maków polnych, na pobojowisku dawnem zakwita, purpurowa, młodzieńcza krew, ojczyźnie na sławę przelana.

Ja wiem, że on zginąć musiał, inaczej byłby tu wichrem do twoich stóp przyleciał.

Wszakże miłować cię musiał, na umor!

Przeczysz?!...

O toć go nie czekaj! Nie czekaj już dłużej!

Rozejrzyj się lepiej do koła! Spojrzyj na krosna swoje. Cień haftu ostał się jeno na denku.

Z luteńki twojej, struny porwane owisły a świerszczyk polny, w jej wnętrze się schronił milczące. Ujmij ją tylko do ręki a poznasz, jako od gędźby wszelakiej odwykła.

Chcesz! — Oto jest! Ale pozwól mi wpierw, niech z niej pyły stuletnie opruszę, zanim palce się twoje jej dotkną. Strusiem piórem mego helmu, cały złoty tuman, cały obłok pyłu wypędzam przez okno na pola... Niech leci! —

Spróbuj-że zagrać teraz a poznasz, jako wie-
kowych lutnia twoja doznawała wywczasów.

Weź-że ją, — tak!...

I milczą oto zbutwiałe struny pod twemi
paicami, jak włókna bezdźwięczne i martwe.

Przez noc jedną, nie mogłyby przecie onie-
mieć!

Czy wierzysz już teraz?

Ale nic to! Założyé każę wnet nowe, cze-
ładź moją zawołam i grajków...

Co ci to? — Płaczesz?! —

Wielkie, ciemne, zaczarowane oczy, patrzą
na mnie z za łez, strachem rozszerzone i męką.

*

— Przecz-żeś mnie budził rycerzu, miast
zabić?!

— Przecz-żeś mnie z martwych wołał, miast
pogrześć?... Przecz żeś się nie ulitował nademną?

*

Zaiste, poco ja ciebie zbudziłem królewno?

Hej, senna, zaczarowana królewno!...



MORENDO.

W błękitną grootę twojej duszy, jak łabędź
dzisiaj wpływam ginący, aby w niej pieśń moją
ostatnią, przedśmiertną pieśń moją wyśpiewać.

Do stóp twoich, płynę oto aby umrzeć.

Do stóp twoich, na sinej fali nieukozonej
niczem tęsknoty, pożegnać się z tobą na długo,
z duchów i ludzi najbielszy!

*

Wszystkiem mi byłeś i niczem;
Słońcem mojem i nigdy niewyplakany
smutkiem mego życia,
Skrzydłami duszy mojej i beznadziejną ot-
chłanią zwątpień,
Ukochaniem, jak Śmierć — jedynem!...
Przyjdź...

I wychodzisz mi na przeciw, z iskrami sta-
laktytów nad głową, z bolesnym uśmiechem na

ustach, z pękiem umarłych kwiatów w ręce, duch sen, widmo, potokiem światła oblane...

I jest w twoich oczach, cała baśń tęczowa, moich snów najcichszych.

I jest w twojej twarzy, cały złoty, niewyśniony sen mojego życia, cała legenda przeszłości mojej...

Ave!

*

O duszo ty ludzka, ty jedna duszo, coś mi była i światem i młodością i umiłowaniem!...

Ty jedna duszo! Poza tobą nie było już dla mnie widnokręgów. Przesłoniłaś mi wszystko, wielką światłością swoją!

*

W błękitną grotę twojej duszy, weszły ongiś myśli moje, w blaskach jej modrych się ocknęły i w wielkie, wonne kielichy pieśni się rozkwitły...

I zbudziły się w nich serca i dzwonić poczęły o liście, cicho zrazu i niewyraźnie, potem głośniej i głośniej, aż wreszcie dalekie, rozwiewne echo pieśni, w kielichach kwiatów zrodzonej, jakiś ostatni, na powietrzu zbłąkany krąg dźwięku, do

stóp twoich przyleciał, o kamień ostry u stóp się
twoich rozprysnął i skonał...

Schylła się wtedy nad ziemią, dziwożona sie-
dząca przy tobie i szukać go w trawie poczęła...

Nie przeczuła, że było to dalekie, mraące
echo mojej pieśni, — nie zgadła!

Dziwożona o wielkich, ciemnych oczach,

Dziwożona o pięknej, złowrogiej twarzy,

Dziwożona, co ci duszę, tę twoją słoneczną
i błękitną, głębią ócz swoich urzekła do czasu,
co ci serce wyjęła z piersi i powiesiła je sobie
u szyi, jak rażący blaskiem — klejnot...

O serce ty ludzkie, ty bezbronne serce!

*

W światłokręgu twojej duszy, myśl moja
otworzyła ongiś poraz pierwszy, zdumione blas-
kiem oczy, aby żyć — a dziś oto, wyspiewało się
już serce we mnie i do stóp twoich młodość
swoją przywodzi, — aby zmarła.

Idą ze mną wspomnienia dawne, w niebies-
ką grotę duszy twojej przychodzą, bo wszystkie
odblaskiem twej postaci są jasne, bo wszystkie,
twoją pięknnością jedynie, są piękne!

*

Widzieć cię! W oczy twoje popatrzeć raz jeszcze, w migotanie ich gwiaździste się zapatrzeć, głos twój usłyszeć znowu, dobry, kochany twój głos, który przypomnieć usiłuję sobie daremnie!

I jesteś! — I pochylasz znów nademną, jasną twoją najmiłszą twarz, mistyczną twarz mojego szczęścia — i jesteś piękny jak raj utracony, jak miraż obiecanej ziemi, jak śmierć wczesna, lekka — i nagła...

O Śmierci, od Życia piękniejsza!

I otwiera się oto przedemną, niby otchłań lotnego szafiru, jak niebo jasna, jak źródło czysta bezdenna głębia niebieskiej twojej duszy...

I zdaje mi się, że to Szczęście nachyla ku mnie słodką swoją, jasną twarz i mówi:

— Napatrz mi się, bo gasnę...

I jesteś jak Młodość, co mówi:

— Przemijam...

I jesteś jak Życie, co mówi:

— Przechodzę!...

I jest w twoich oczach, cała baśń tęczowa, moich snów najcichszych...

O Życie, od Śmierci smutniejsze!

W ręce twoje, w twoje cudotwórcze, litości-
we dłonie, oddaję oto, ducha mego... W twoje
białe, zmęczone ręce: —

Amforę łez wylanych daremnie,
Całe różańce niewysłuchanych pacierzy,
Wszystkie tęsknoty majowych nocy,
Wszystkie godziny jasnością twoją złote,
Słoneczne lata młodości mojej, okwitłe
bez ciebie!...

*

I widzę cię, widzę cię tuż przed sobą, po
latach, — znowu...

Widzę oczy twoje złotawe, migotliwe, jak
gwiazdy w mroźną zimową noc i czuję znowu
chłodną pieśczętę twego wzroku...

I stoisz przedemną:

Iskrzący kwiat paproci,
Święty Graal mego serca.
Ognisty krzak natchnień moich,
Obiecana ziemia mojej duszy...
Śmierci wczesna, lekka i nagła!

*

O duchu, coś mi rzucił w głąb łona olbrzymią nostalgię słońca, coś mi pokazał dalekie, planetarne przestrzenie twórczej myśli, przyjdź ty mi teraz z pomocą! Weźmij duszę moją i prowadź, na te szlaki jasne, kędy gwaru niema ni ciżby, gdzie duchy wolne, po szeleście skrzydlatych myśli swoich poznają się jedynie...

Gdzie hasło brzmi: — Blask!

Gdzie odzew brzmi: — Duch!

Tam ty mnie prowadź!

*

Usty modlitwą tą spalonemi, pożegnanie ci dziś rzucam przedśmiertne, niewysłuchaną tą prośbą spalonemi usty, pożegnanie dziś ślę ci, — ostatnie!

* * *

Nie kochałeś mnie nigdy, zapomnieć, nie potrafisz jednak.

Imię moje, nic nie znaczyło w twym życiu a przecie ty go od siebie oderwać nie zdołasz...

I świecić ono będzie przy twojem, jak ta gwiazda sinosrebrna, nikła a wierna, po niebie za księżycem płynąca i przetrwam wszystko, co się z tobą łączy, co mi cię przesłania, oczekam aż sam będziesz, — wtedy przyjdę — i zostanę.

Przedtem jednak, wiele jeszcze światel po-
gaśnie, wiele kwiatów zwiędnie — i życie minąć musi. Dziś umiera tylko młodość moja i lata moje kończą się wiosenne, których ostatnia, złota, krótka godzina, do stóp twoich, w blasku twoich oczu — umrzeć przyszła.

Dziś żegnam w tobie młodość moją słoneczną i patrzę, jak w dźwięczne fale u twoich stóp zapada bezpowrotna, jak Śmierć — i Miłość jedyna, chłodną pieśczętą oczu twoich żegnana, twoich smutnych niezapomnianych oczu...

O duszo ty jasna, nieśmiertelna duszo!



IMPROMPTU

Sypie się mrok, makowe ziarno sypie się
zmierschem na ziemię...

Sypie się ziarno z makówek a na rosę sny
lecą, — sny lecą...

Widzisz je?...

Jaskrawe, jak ból i rzeczywistość,

Głuche, jak rozpacz

I jak prawda okrutne...

Parne, jak letni wieczór przed burzą,

Blade, jak mgły nad ugorami wiszące

I jak deszcz na górach posępne...

Te, które się kładą ciężkim smutkiem na
piersi i trwają...

A potem te piękne i nietrwale, jak szrony
na słońcu niknące, te najpiękniejsze a niepochwy-
cone, których życie nie spełnia — a człowiek za-
pomnieć nie może...

Te, z których bije zapach rajskiego ogrodu
i luna wiecznej światłości, w których jest pokój
wiekuisty i wielkie ziemskie kochanie.

Te, które się wyśnić — nie mogą...

Sypie się mrok, makowe ziarno sypie się
zmierzchem na ziemię...

Sypie się ziarno z makówek a na rosę sny
lecą, — sny lecą...

*

Jakiś sad, w przepychu kwiecia stojący, ja-
sna zieleń majowych traw, żółte i białe motyle
liściom zdmuchniętych kwiatów podobne, jarzące
rosy na trawach i szafir nieba nad sadem. Wio-
senny, słoneczny ranek — w powietrzu woń...

Tak, tak, teraz ty przyjdiesz, — ja wiem...

*

Zbliżasz się ku mnie śnie mój, wołany tę-
sknotą bezmierną, przed tysiącami tysięcy lat,
z parnych, wilgotnych dżungli rajskiego ogrodu
wylęgå!...

Zasłuchaj się jeno w pieśń moją...

Wyteż serce i poznaj, że dla ciebie oto, roz-
topionem złotem dźwięku, na powietrzu się roz-
lewa w przeczyste formy krpęcąc...

Przejdiesz, przeminiesz, jak cień, jeno słowo
moje żywe — zostanie po tobie!

Z oddali, z przeszłości, pod śnieżną biel
rozkwitłego sadu, w smudze blasku idziesz ku
mnie...

Czuję zapach fiołków i wiem, żeś już blisko!
O śnie, słoneczny śnie mego życia...

*

Przez mgłę łez patrzę na ciebie, na twarz
twoją młodą i wdzięczną.

Z za łez może, wydaje mi się tak piękna
jak zawsze...

Z za łez może, wydaje mi się tak smutna —
jak nigdy...

I nie mówię ci: „Odejdź“, bo wiem, że za
tobą odeszłaby dusza moja.

I nie mówię ci: „Opuść mnie“... bo wiem, że
za cieniem twoim iść będę przez wieczność...

Ty nie wiesz, że taki cień marny przesłonić
może — słońce!

Wypełnić serce, jak płyn wypełnia czarę,
Położyć się smugą na wszystkie łąki życia
I wszystkie gwiazdy pogasić!...

Bo nie wiesz, że taki cień marny, to wielka
 łaska boża, wielka moc — i władza.

Niewiesz, że bez ciebie, popiół by jeno po-
 został ze mnie i proch.

Niewiesz, że bezemnie, cieniem byś tylko po-
 został marnym i snem!

*

I patrzę oto na ten cień twój, na trawach
 leżący przedemną, oczu — na twarz twoją jasną
 po raz wtóry podnieść — nieśmiejąc...

— „Posłuchaj“ mówisz nagle — „Posłuchaj“
 powtarza głos, którego dźwięk, jak klejnot w ręce
 chwytam i do piersi garnę..

— „Przychodzę oto do ciebie, po czystą rosę
 twoich słów, — po pieśni twoich mannę niebie-
 ską, albowiem wypalił się we mnie blask ducha —
 i wszystkie światła pogasły..

— Dusza moja mieszkanie swoje rzuciła
 i jestem, jak koncha pusta, w której jeno szum
 fal wielkich pozostał, co szemrze jeszcze:

Thalatta — Thalatta!

Choć słów tych już pojąć — niezdolna...

A ty wiesz, że nie była z tych, co jak me-
 teory gasną.

Wiesz, że w niej skarby zaklęte i hufce
skrzydlatych myśli się kryły,

Że miała w sobie błękit i głębię tatrzańskich
stawów i wielką ciszę turni...

Ty wiesz, że nie była błędnym ogniem na
trzęsawiskach życia,

Że wielka, smutna, pierworodna, paliła się
w niej — miłość!

Wezwij duszę moją! Ty możesz! — Na twój
głos powróci..“

*

Podnoszę wzrok, — pod przejrzystą bielą
rozkwitłego sadu, niema nikogo... Sen pierzchnął...

O śnie, słoneczny śnie mego życia!

*

*

*

I poszła myśl i poszła tęsknota bezmierna,
przez rajskie sady snów, przez ciżbę sennych
mar, poszła duszy twojej szukać, po stepach i le-
wadach jej wołać... W nawy mrocznych kościo-
łów z szeptem litanii, z oparem kadzideł się nio-
sła — i leciał głos, szła myśl niestrudzona, muszle
na dnie fal śpiące otwierać,

Na śpiewne piersi skrzypiec się kłaść,

Roztruchany lotosów białych odmykać westchnieniem.

I orłom patrzeć do gniazd...

Daremnie.

Nie było duszy twojej pośród sennych pereł oceanu,

Ani w piersiach skrzypcowych,

Ani w pucharach lotosowych kwiatów,

Ani w orłowych gniazdach...

I zdało mi się to szukanie, trudem daremnym już i straconym...

Wtedy zaszła mi drogę Melancholia...

Na młodej jej twarzy, leżał srebrny odbłask miesięcznej poświaty. Szła wolno, przez krajobraz szary, skalisty, głębokimi cieniami kamiennych załomów znaczony, z granatową przepaścią nieba nad głową, w ciemnej swojej, długiej szacie z czarnymi malwami na śnieżnobiałych włosach. Szła wysoka, dostojna i jak każdy wielki smutek, piękna.

Stała i patrząc mi w oczy długą, martwą chwilę. — „Kogo szukasz?“ zapytała nagle.

— Duszy ludzkiej, jednej duszy, która mieszkanie swoje rzuciwszy — odeszła... Wołam jej i szukam — daremno... Żal mi jej, jako perły

bezcennej, rzuconej w morze z powrotem... Może wiesz gdzie przebywa, jak jej wołać należy? Odpowiedz!

Potrząsnęła srebrnymi strumieniami włosów.

— Nie szukaj — odparła twardo. — Takich dusz nie woła się z powrotem, albowiem wrócić nie mogą — nigdy.

A wtedy zadzwonił we mnie pęknięty spiż zranionego śmiertelnie serca i w jęk ogromny uderzył, — w jakieś podzwonne, nad pustyniami się niosące.

Podzwonne duszy twojej, — twojej słonecznej, możnej duszy,

Podzwonne wielkim, jak ptaki szerokoskrzydłe, lotnym porywom twoich myśli...

Podzwonne pragnieniom twoim, jak sosnowe, wysokopiennie lasy szumiącym mi ongiś nad głową...

Podzwonne, podzwonne, podzwonne!...

A niewiasta o młodej twarzy i białośnieżnych włosach, obejrzała się raz jeszcze, poważna milcząca, w ciemną swoją szatę spowita i poszła dalej, skalistą, miesięcznym światłem oblaną drogą.

Wysoka, dostojna i jak każdy wielki smutek,
— piękna.

*

Sypie się ziarno z makówek, a na rosę sny
lecą — sny lecą...
Jaskrawe, jak ból i rzeczywistość,
Gлуche jak rozpacz
I jak prawda okrutne...



SUITE

Zostań! zostań...

Patrz, przecie wiosna wstaje i lodem zaszle
oczy jezior przeciera, na słońce je obraca —
i wstaje!...

Przecie dziś, jutro — zakwitną śnieżyce,
jaskółki wrócą i trwożnym swym świągotem py-
tać mnie będą o ciebie!

I cóż ja powiem tym żalobnym, wracającym
ptakom?

Nie, — nie, — ty nie odejdiesz bezemnie!

To tak, jakby się człowiek cienia swego wy-
rzekał i mówił mu: — „Ty w swoją, ja w moją
drogę pójdę, żegnaj i zapomnij o mnie!“

Jakże to?! — Widzisz, to już tak niedługo...

Przyjdą ranki słoneczne, wyiskrzzone rosami,
przesiąkłe wonią fiołków i traw, śniegiem kwiatu
okryje się tarnina — a wreszcie — sady za-
kwitną...

Sady zakwitną! Słyszysz?

Przyjdą wieczory, duszne zapachem czeremszyn, w mrokach liliowych tonące, przyjdą sny, siądą koło nas, na fiołkami tkanej murawie i śniegiem liści osypią nas wiśnie i grusze kwitnące...

Odchodzisz?... Odchodzisz jednak?...

Idę więc z tobą razem...

Nie będę czekać aż mi się las świeży rozwinie, nie popatrzę w złote oczy jaskrów, wonią bzów nie odetchnę więcej, ani czeremszyn cierpkim krzepiącym zapachem...

Idziemy razem!

*

Ciemno jeszcze i martwota na świecie.

Chwila najsmutniejsza i najcięższa przyszła...

Odchodzę z duchem twoim, nie żegnając się z nikim...

Wszystko w ciężkim śnie stężałe, leży u moich stóp. Nie mam się z kim żegnać. Wiem zresztą, że nie wrócę — lepiej więc odejść cicho, bez szelestu rozpostartych skrzydeł.

Ziemia zbudzona nie pozna nawet, że jej

ubył cień człowieczej duszy, że ktoś z ludzi mi-
nął — i odszedł...

Lećmy!

*

Nie wołasz mnie za sobą i nie wiesz, że
w kirach mroźnej, bezgwiezdnej nocy, dążę twym
śladem, że cienie rąk moich dotykają twojej szaty,
że nie jesteś pyłem samotnym, zgubionym w prze-
strzeni, że razem lecimy na obłądne, obcy sobie,
zawsze dalecy, a jednak — tak blizy!

*

Co tu kwiatów po drodze!... Białe przezro-
czyste, jak dyamenty i jak one, tysiącem tęczy się
mieniące, Co to za kwiaty? Chcę ich nałamać
i zabrać z sobą, ale pod moim dotknięciem
w igły się srebrne rozprysły... Dziwne kwiaty...
A jakie zimne, jak z lodu... Szkoda, że z nich
wieńca uwić nie można. Byłby piękny jak żaden
z tych, — na ziemi!...

*

Zimno i ciemno... Poznają cię tylko po kwia-
towej jakiejś woni, co płynie za tobą. Ująć cię
ręką nie śmiem, nie mam prawa — ducha!

Wicher gwałtownem tchnieniem przeleciał w przestrzeni i nagle, szmat granatowego nieba ukazał się z za chmur. Przy blasku kilku świecących na niem gwiazd, widzę, jak zwijasz rozpostarte skrzydła i padasz w znużeniu, na puch lecącej chmury.

Cicho, jak nietoperz ustaję w locie i chylę się również na ów oblok płynący... Patrzymy na siebie w milczeniu.

Kto ty jesteś? Zdają się mnie pytać twoje oczy, złotawe, przygasłe, zdziwione. Ale ja milczę pod chłodnym wejrzeniem źrenic twego ducha i czuję dreszcz, jakby owe mroźne, lodowe, widziane przed chwilą kwiaty, dotknęły nagle mego serca.

— „Kto ty jesteś?“ — Pyta wreszcie głos twój, zmieniony, smutny, w którym drga znużenie.

— Jestem cieniem twoim, co idzie za tobą...

*

Jak dziwnie brzmią głosy nasze, w tej przestrzeni bezkresnej! Wydają się szeptem słabym i niewyraźnym, a jednak poznają twój głos, znajomy głos, za którym pójdę wszędzie, choćby najwyżej!...

Gwiazdy świecą duże, białosrebrne, jakby tuż nad nami zapalone i w blasku tym śnieży się przedemną twarz twoją, trochę tylko przejrzystsza od żyjącej ongiś, bardziej tylko znużona i smutna... Czemu?... Wszakże ten lot nasz, to swoboda, to wyzwolenie! Kształt ziemski umarł a dusze lecą oto na wyraj bezpowrotny, jak ptaki wolne, ku Słońcu, — ku Prawdzie!...

Więc na co ty czekasz, biały, zmęczony duchu? Czemu skrzydła twoje, jak zwiędłe leżą na puchu płynącej chmury? Lećmy! — Oto cień twój zrywa się do lotu a ty — czekasz?!

I podnoszą się ku mnie źrenice zlotawe, przygasłe, oczy twoje podnoszą się ku mnie a głos ów znajomy i drogi zawsze, mówi z wysiłkiem:

— „Mocy mi brak, aby w górę lecieć — a w dół, z powrotem, nie wolno!...“

I duch twój pada śnieżną twarzą na obłok płynący i trwa tak w ciszy, smutniejszej — od płaczu.

*

I nagle, pierwszy raz, stanęła przedemną myśl gorzka i paląca... Możeś ty jednak nie z tych — Najwyższych, skoro w połowie drogi zwiędły ci skrzydła i padasz? Możeś ty jednym z tych

kwiatów lodowych, co blaski siały znikome, choć
światne a pod dotknięciem, w igły się srebrne roz-
prysły?...

Zostań więc!

Odlączam się od drogi twojej, aby samo-
tnym cieniem dążyć odtąd ku głębiom niebieskich
sklepień...

Może kiedyś, — dolecę tam, gdzie tobie nie
było danem, a wtedy rzucę ci jaką gwiazdę na
znak, że jestem u celu, niech ci spadnie na zała-
mane w niemocy dłonie, jak płomienny, gorący
kwiat — i wskrzesi ci duszę i ludzkim, znajomym
głosem, którego nie poznasz, — powie ci:

— Wstań!



REQUIEM AETERNAM.

Nie idź za mną! — Tu bodaj, na tym progu opuść mnie!...

Na wrzosem wysłaną polanę, w las żywicą wonny, w szare godziny letnich zmierzchów, przychodzić możesz wspomnieniem. Tu jednak duszę moją opuść, — niech idzie sama, niech się oderwie od ciebie, niech zapomni! Nie idź za mną...

* * *

W chłodnych kolorach tęcz, lecących przez gotyckie okna, stoję — i słucham ciszy.

Pył minionych wieków sypie się na mnie ze sklepień i cisza, wielka kościelna cisza, ogarnia mi duszę. Na sarkofagach spią twardo, w zbroje zakuci kamienni męże. Pokój im wieczny!

*

Pokój wieczny... Jakież to mocne słowa. Ile w nich nieskończoności — i ciszy.

Pokój wieczny... Te słowa zamiast modlitwy powracają mimowoli na moje usta i są mi pacierzem.

*

Daj Panie pokój wieczny tym myślom moim, co jak ptaki chore, na wyraj polecieć nie mogą — a w górę się rwą, do gwiazd.

Pokój wieczny sercu memu i duszy mojej, wieczny pokój i cisza!

*

Jakże tu pięknie i dobrze! Nie wiem, czy mi to Piękno właśnie, nie koi duszy samo i wyłącznie. Ale nie. Tum koloński jest poematem linii — a jednak, o ile tu lepiej, — inaczej..

Tu jest jakaś wielkość, którą czuję, wielkość Wiary w rzeczy czekane a słoneczne, — Wiary, która z dymem kadzideł leci pod strop gwiazdzysty, wsiąka w strzępy starych sztandarów, u pajęczyn kamiennego chóru się wieszka — a przytem, tu jest Przeszłość — i Smutek...

*

Cisza. — Słyszać tylko lekki łopot płomienia, w zawieszanej przed ołtarzem lampie i zapach

jakiś dziwny, wilgotnym chłodem wieje przez kościół, — Zapach powiędłych kwiatów, spalonego przed ołtarzem bursztynu — i łez daremnie wylanych...

*

Drgający płatek tęczy, jak liść rajskiego kwiatu pada mi przed stopy. Szkoda, że pierzchnąć musi! Jutro o tej porze, padnie tu znowu, na te same arabeski mozaikowych kobierców, — jutro i codzień. Żal mi go, jak niektórych godzin mego życia, co blaskiem nagłym padały mi w duszę, aby zajaśnieć jak tęczą, — zgasnąć — i niewrócić więcej!

O tęcze moje, o godziny jasne!...

*

Ze złoczonego tła obrazu, purpurową luną wiecznej lampy oblana, patrzy na mnie ciemna, w srebrne blachy zamknięta twarz.

Lzy koralowe i złote serca, wiszą na blasze a czerwone światło lampy, plami wota i schnące bukiety nieśmiertelników, niby krwią świeżą, nie-zastygłą jeszcze.

A gdyby tak i mnie, takie serce złote, powiesić na srebrze obrazu, takie zakrwawione blaskiem serce, złożyć między te, wiszące już?!

Czyżby istotnie okupić można żywe, takim złotem?

Ucieczko grzesznych...

Módl się za nami!

Uzdrowienie chorych...

*

Przez bukiety nieśmiertelników, prześwieca obraz cudowny, ciemna twarz patrzy wprost ku mnie, a wielkie, smutne oczy: pytają wyraźnie,

Co tobie?!

Królowo Aniołów —

Módl się za nami!

*

Kościół zastyga i krzepnie w mroku.

Tęcze oderwały się od ziemi i zgasły, tylko okna barwne świecą, jak na niebie wyszyty, w kamień poprawny haft.

Coraz to mroczniej...

Podnoszę oczy mgłą łez zachodzące i z za łez, widzę cienie postaci, ręką mistrza na tynki

rzucione, anielskie widma, w gloryach złocistych świecące i jedno z tych widm, o bladym znajomym uśmiechu, pochyla się nagle ku mnie i skrzydły jaskółczemi szeleścić poczyna...

A! — tu bodaj nie mać mi ciszy! — Tu bodaj nie przychodź, gdzie o pokój wieczny dla serca mego proszę, gdzie z piersi smutkiem wezbranej, na głos pomocy wołam...

Królowo Aniołów —

Módl się za nami!



FINALE.

Więc jeszcze nie koniec, — nie koniec?!

Błede mary kładzione na sen do sarkofagów
wstają i długim korowodem ciągną się przedemną...

Znowu!

Tyle razy, w męce i bólu, prosił ci się mój
duch o pokój, groźna przemożna maro, a oto
znowu zachodzisz mi drogę... Postać twoja, za-
mierzchła mi już przed oczyma, jak tuman mgli-
sty, na smugu łąk o zmroku się kładący, który
ciemność nocy chłonie powoli...

Pocóż się wracasz?

Teraz, kiedy w moc sercem rosnę, ku in-
nym się światom zawracam i dążę...

Teraz, kiedy ramiona moje wielkim wiecz-
nym miłościom się rozwarły i dech nieskończo-
ności twarz moją owiewać poczyna; kiedy duch
mój na życie nowe się zbroi, na pełne, ogromne,
skrzydlate życie?

Po za mną, w kurhanach polnych, zostały
łzawnice siwe, w których serce smutki swe młode

niby miód mocny syciło, upojne miody krótkich,
złotych lat życia...

Zostały po za mną, w popielnikach, prochy
ofiar przed słońcem dziecinnych wierzeń spalone,
zostały żalniki pamięci, na uroczyskach rozłogów
leśnych drzemiące...

Sen wam, sen wam, — sen!...

Cichy był wasz pogrzeb, bez wonnego stosu
i płomiennych sztandarów ognia, nocą na wicherze
się drących, bez obrzędowych pieśni i płaczu...

Czar życia odszedł tylko i pod ruń zieloną
się zapadł — i to czekanie rzeczy wielkich i bo-
leśnie pięknych, które jest skrzydłami młodych lat
i złotą żagwią w ciemnościach zapaloną przed
nami, — odeszło.

*

I dźwigają się we mnie moce zatajone daw-
niej, cały jakiś huf rycerzy, w piersi mojej śpią-
cych, chrzęścić zbrojami poczyna i budząc się
o tarcze spiżowe uderzać...

Na światło! Na walkę przedwieczną! Na
bój!

O drużyno promienna, o moi śpiący rycerze!..

*

Czy wiesz ty, z kim idziesz się zmagać majaku ?...

Znikomy, blady, wonnym oparem wspomnień dawnych, znów nad sercem mojem ciążyć poczynasz...

Idzie od ciebie, czar nieprzeparty ongiś, czar pustynnej Fata Morgany, co zielenią palm świeżych, na suchych piaskach ziemi zakwita... Czar sennego majaka z baśni, do którego obłąkane myśli moje szły wplaw, przez sypkie morze spalonych wydm, przez gorącą falę życia.

Bije od ciebie, woń śmiertelnych zapamiętań, woń cudowna białych trujących kwiatów, w której serce moje zagorzało ongiś, jak lampa w bursztynnych kadzidlach chramu...

Idziesz ku mnie i znowu, popatrzeć ma na mnie z twoich oczu, najpiękniejszy sen moich nocy...

Nie lękam się jednak. Pokonam twój czar, przemogę wzrok!

Jak głęboka, cicha toń wody, pod niebem letniej nocy leżąca, tak dusza moja firmamentem gwiazd bożych, w głębi swej odbitych, migoce...

Nie tobie światła te wieczne przesłaniać,

Nie tobie je gasić...

Nigdy już, groźna, przemożna maro, nigdy
już nie pójde za tobą!

Nigdy! — spojrz w przepaść tego słowa i w prze-
paści jego się pograż!

Nie padnę już nigdy w prochu u twoich
stóp i już mi słońca sobą nie zaćmisz!

Idź — i otwórz kurhany sypane po błędnych
drogach, któremi cień twój mnie wodził i w snów,
opary spowijał!

Spojrzyj w siwe łązawnice i wnętrza popiel-
ników, a odejdiesz w pokoju, ujrzawszy, jako dosyć
krwawego haraczu życie moje ci niosło!

Koniec, — już koniec!

Po raz ostatni mówię ci: — Odejdź!

Po raz ostatni powiadam ci: — Opuść mnie!

Maro okrutna! — Nienasycona maro!



Z GÓRNYCH ŚCIEŻEK.

...Patrzę ci prosto w oczy, w złote,
nieprzeliczone oczy twoich gwiazd,
— bez lęku..

PAUZA.

Niby dzwon szklany spuszcza się nad nami
i zamyka nas przejrzystym kielichem — cisza.

Jednym słowem zbić mogę to szkło niewi-
dzialne, jednym dźwiękiem. Niemam go jednak
w piersi.

Te słowa marne, te brzmiące, uszły mi gdzieś,
uciekły, a bez nich rozbić tej czary szklanej nie
mogę!

Nie przemówię, nie zdołam.

Za długo trwało to milczenie we troje.

Za długo milczeliśmy — ty, — ja — i Ona...

Bo tu jest Śmierć, — ja wiem...

*

Wilgotny zapach zlanego deszczem mchu
i zwiędłych świerkowych igieł, bije od ziemi.
Pod ruchomą powałą gałęzi, na pniu ściętej sosny,
siedzimy jak dwoje rozbitków, na odłamie masztu,
ku nieznanym zaniesionych łądom. Jakieś zioła
rzadkie kwitnąć muszą właśnie, bo w żywiczne

zapachleśne , mięsza się oddech, jakiejś poprostu rajskiej, niewymownie słodkiej woni, której nie znam.

Przez jasną wyrwę pośród świerków, widać dalekie lesiste góry, dymiące się mgłami po deszczu i jasny seledyn nieba nad nimi.

*

Patrzę na te ręce wątle, o delikatnych, cienkich palcach. Zwisają bezsilne i bezwolne zupełnie.

Mają wdzięk więdnących kwiatów... ·

Przemówić, — ta cisza zadławi mnie, zadusi!

Niemogę...

Nagle, — czuję na twarzy chłód twojego wzroku.

Te oczy mówią mi coś, ale tak cicho, tak ciemno, że — nierozumiem. Wiem tylko, że niema w nich skargi, ani pokory, jest jeno hardość bólu zaciętego w sobie i wielkie wyteżenie w głąb. Patrzę w te oczy i piję duszą ich wzrok, jak ciemny, gorzki napój.

*

Czy ptak wie, że umiera!?

Czy świeca wie, że gaśnie...

*

Śmierć patrzy na mnie z tych młodych, bezdennie bolesnych oczu, wczesna, okrutna — Śmierć.

Nie potrafię przemówić...

Ty nie czekasz zresztą na nic. W milczeniu i jakby pod niezmiernym jakimś ciężarem, gniesz się w siebie, nie wiedząc, że widzę oto niemal tę duszę twoją znużoną, bezwładną w tej chwili jak te ręce i jak rysunek tych rąk szlachetną, proszącą się Bogu — na światło.

Niezrozumiem nigdy, co mi te oczy mówią, te harde, przepaściste, cierpiące oczy, a jednak usiłuję zrozumieć i patrzę w nie uparcie, jak w bezdeń, co ciągnie ku sobie — tajnią.

*

Czemu nikt nie nadchodzi?!

Ta cisza przeciąga się jak struna i potracona może wydać ton, — gotowa jęknąć słowem jakimś, zadławionem w naszych piersiach, słowem, którego nie znam, a poznać nie mam dość siły...

A przecie my jesteśmy tylko, jak te duchy, z jednej jakiejś gwiazdy, na obcej ziemi zbłąkane, które po śpiewnym narzeczu ojczyzny swojej, poznały się jedynie... Nic więcej...

A jednak, zawisa mi przed oczyma myśli, ta głowa harda, o wielkich, bezdennych, zuchwale cierpiących oczach, z których patrzy — Śmierć.

A jednak, zawisa mi przed wzrokiem pamięci, ta twarz młoda, tajemniczem piętnem zagłady znaczone, — tragiczna, bolesna...

Widzę ją tuż przy sobie, a jest już, jakby o tysiące lat, o tysiące mil, oddalona odemnie...

Widzę dokładnie ostry profil chylącej się w dół twarzy, żywej jeszcze i czującej, a zdaje mi się, że to już tylko myśl ludzka, w przestrzeni zbłąkana, wielka potężna myśl, której nikt nie poznał dotąd i nie pozna — nigdy, której nie ogarnie nigdy nikt, — ani wchłonąć w ciasną pierś swoją nie zdoła...

A przecie my jesteśmy tylko jak te duchy...

Tak trudno myśleć o tem... Może dlatego, że „tego“ nie ma właściwie, a jest jednak, że to jest coś lżejszego od pajęczyny, coś, co znika gdy się w to wpatrzeć uparcie i znów lata przed oczyma, jak czerwona plama blasku, chwyconego w oko — przelotem. To są cudowne rzeczy. Przychodzą niewołane, niespodziane, coś, jak rysunek bez konturu, jak muzyka bez dźwięku, rzeczy, w których przejrzystą głębię wnika się całą istotą, choć

popatrzeć nie ma na co, — choć ująć nie ma co...

Może tylko natury tak polarne jak moja, tak wystygłe jeszcze w przedbycie, zdolne są odczuwać podobnie powietrzne, kryształowo chłodne, nieujęte rzeczy. Czy ja wiem? Może dla tego, że krew moja ścięta jest w lód i milczy zawsze, widzieć mogę płonącą wysoko nad życiem mojem, północną zorzę — ducha?...

Patrzę na te młode, wątłe ręce, a zdaje mi się, że mam oto przed oczyma rzecz martwą, bezdennie smutną — i już minioną...

Coś oddala cię odemnie i przesłania, jakby oparem lotnym i chłodnym, coś zaciera mi jakby mgłą oddalenia, istniejący jeszcze, żywy kształt, coś, — co mi cię kochać zabrania... Chłonący materję duch...

To jest Śmierć. ja wiem.

*

Wiedzieć coś tak dokładnie i nie móc — nic!..

Bo i cóż ja mogę?

Jest straszne okrucieństwo w świadomości, jaką ma człowiek w takich chwilach.

*

Gdyby to można, wziąć taką duszę w ręce, jak ptaka, taką zszarpaną łopotem własnych skrzydeł duszę; gdyby ją można wynieść na jakieś ogromne, dobroczynne słońce, dać jej pokój i siłę — i słodycz i wrócić ją Bogu czystą, bezcenną w blasku, ufną, jak dziecko, jak kwiat...

Gdyby można?... Ale nie, z Nią niema walki. Stała między nami groźna, milcząca, nieubłagana... I dla tego ta cisza, kładącą mi się odwalonem wiekiem pustego sarkofagu na pierś...

I dla tego te słowa marne uszły...

*

I znowu ten wzrok na mojej twarzy, zachwały, bolesny, jak każda głębia ciemny, wzrok oczu z których patrzy — Śmierć.

*

Szkoda mi cię, jak meteoru potężnej myśli, co ognistą rysą przelata po niebie czasów swoich — i gaśnie.

Szkoda mi cię, jak powierzchni wody głębokiej a czystejszej, którą pleśń zwolna powleka, —

a w której ongiś, — własna moja dusza, zwierciadliła się młoda i nieśmiertelna.

Szkoda mi cię, jak żalują jedne drugich, rozpierzchłe w przestrzeni tony, razem kiedyś, pieśń wielką tworzące.

Szkoda mi cię, jak ptaka odlatującego jesienią ku morzom, który nad swojskie łąki swoje, niema wrócić — nigdy!

*

Gdzie pójdzie ta dusza twoja — potem?

Gdzie pójdzie płomień zgaszonej świecy?...

Niewiem... A jednak wierzę w kręgi światłości wiekuistej i w słońce przedwiecznej Prawdy! Wierzę w przeczyste cienie najmilszych postaci i sprawiedliwą, tajemną Moc nad nimi.

Wierzę, w obiecaną ziemię ducha i wieczny odpoczynek po męce! W słoneczne zaświecie bezkresnego szczęścia i w róże, co nigdy nie zwiędną.

Wierzę, w nieśmiertelne trwanie myśli gorących a wielkich, co na lodowiskach ziemi pogasły i w to Królestwo jasne, co nie jest z tego świata...

Wierzę!

A ty?!

*

Cisza pryska, tłucze się, jak szkło cienkie
i dźwięczącemi okruchami, rozsypuje się dokoła.

Suchy przeraźliwy kaszel...

Wszystkie struny zdają się rwać w tych
piersiach i jak struny rozbitej harfy pękając, —
odpowiadać mi krzykiem skargi i buntu: —

Krzywda! — Krzywda! — Krzywda...

Straszliwy, bolesny, suchotniczy kaszel.

To jest Śmierć, — ja wiem.



NA FALI.

Są grzechy ciężkie, jak całe łańcuchy gór,—
winą w głąz skamieniałych,

Są niewidzialne, a zabójcze, jak ostrza strzał
jadem śmiertelnym zatrutych,

Cale korowody, cale tumany, — są —
Ale to, grzechem nie jest...

*

Patrzę ci prosto w oczy, w złote, nieprzeliczone
oczy twoich gwiazd bez lęku.

Patrzę w twoją Nieskończoność, na to prze-
pychem migocące wieko świata i nie drzę, choć
wiem, że się to wieko podniesie kiedyś i jak
z trumny pył, tak ów proch złoty, tchem twoim
zdmuchnięty — opadnie...

Wtedy o duszo moja, powiędłe astry gwiazd,
oddechem Wieczności strąconych, zbierać pójdzie-
my po łąkach!...

Nikomu niedamy ich tknąć, — nikomu...

Zwiedle, chłodne, wołać będziemy do życia,
 aż światłem przedwiecznym zaświecą, aż się
 w blask żywy rozjarzą na nowo, świetne,
 błyszczące...

A wtedy, — choćby oślepnąć przyszło
 o duszo! Nieść pomoc gwiazdom mrącym, ciche
 uczynki miłosierdzia, gasnącym ogniom bożym —
 nie grzech!...

Więc patrzę ci prosto w oczy, w złote, nie-
 przeliczone twoje oczy i nie drzę;

Jest we mnie bowiem, pokój wielki, bezkre-
 snych, wiecznych przestrzeni,

Jest we mnie cisza i chłód, jesiennych, gwia-
 ździstych nocy,

Powietrzna czystość rzeczy nieśmiertelnych —
 a śmiertelnie smutnych — i ty jesteś we mnie,
 o duszo moja!

* * *

Przypomnij, wyteż myśl!...

Widzisz te głazy ofiarne, na piasku nadmor-
 skim leżące? Wystygłe, chłodem księżycowego
 blasku ścięte... Poznajesz tę falę, co bije zdyszana
 piersią o brzeg?

Obrzęd święty się skończył. Odeszli wszyscy.

Noc jasna, zielona, mglista. Pod stopami chrzęszczą nam ziola, których te dziewczyny jasne narzęły... Pachną... Czujesz woń? —

Pamiętasz?

Musisz pamiętać!

*

Widzę twoją rękę, wątłą, młodą, wysmukłą rękę...

Widzę cień twoich palców sunący po runach ofiarnego głazu i słyszę twój głos...

Mocne, straszne runy...

Wypaliła mi je ta chwila na sercu i czuję je do dziś, głęboko, — do krwi zaryte — i niosę je w sobie przez życia wszystkie, przez Wieczność i czuję ból, choć serce moje, jak ów głaz ofiarny, w chłodach miesięcznej nocy — ostygło...

Mocne, ciemne runy twoich słów!

*

Przypomnij, przywołaj wszystko!

I tę noc i te nasze rozmowy długie, ponocone, o rzeczach wielkich i czutych tylko, w milczeniu ust, tętnami serc — wiedzione.

Wiesz przecie, że się nie taka, zerwać nie-
może nigdy!

Wiesz przecie, że fala życia powraca i od-
nosi wszystko — i kwiaty rzucone — i słowa...

Widzisz, jak płynie ku nam szybka, zdy-
szana?!...

O falo ogromna, powrotna falo życia! —

* * *

Wróć się chwilo święta, zwietrzała,
Wróć się woni dawnych, prastarych czasów,
Wróć się cieniu znikomy, coś mi gasnąc,
zapachem myśli wiecznych owiewał duszę!

Wróć się nocy miesięczna i chłodna,
Na głaz ofiarny mego serca, w uroczysko
duszy mojej, zejdźcie ognie w przestrzeni stra-
cone,

Zejdźcie dymy stare, tchem czasów nowych
odwiane,

Zejdźcie lotne, błękitne, w bursztyennej woni
mdlejące, bo oto wam piersi moje, na ścieżaj dziś
otwieram!

Bywajcie!

*

I wraca wszystko...

Noc jasna, zielona, mglista —

Pod stopami chrzęcą nam ziola, których te
dziewczyny jasne natrzęły... Pachną...

Z błękitnych bursztynnych dymów zapomnienia, wyłania się cień...

Podaj mi rękę!. Ta sama! Wątła młoda,
chłodna ręka mego snu. Wysmukłe, białe palce,
których cień, padał na runy ofiarnych kamieni —
ongiś, — te same...

*

Bielila się dusza moja w twoim blasku, jak
te płótna mistyczne, w świetle miesięcznym, na
runi łąk się bielą.

I szedł cień twój przez życie moje, cichy,
zwiemy, bolesny, jako sen o czymś wiecznym,
a obiecane oddawna, jako sen, którego ręce
śmiertelne zatrzymać nie mogły

I przeszedł...

*

Chrzęst tych ziół pod naszymi stopami, tych
ziół święconych a wonnych i te twoje ręce smu-
kle, młode, na głazach ołtarzysk leżące, plusk fali

bijącej zdyszana piersią o brzeg i noc jasna, zie-
lona, — mglista...

Piaszczysty brzeg morza i zimne już, w świę-
tych ogniach okopcone głazy.

Przypomnij, przywołaj wszystko!

Musisz pamiętać...

*

To nie był sen, to była prawda odwieczna, to było
— życie.

Wszystko inne snem tylko i omanem .. Przypomnij!
Z przestrzeni wiecznych, szliśmy ku sobie — ongiś,
Z przestrzeni wiecznych idziemy — znowu,

O falo ogromna, powrotna falo życia!

*

*

*

Są grzechy ciężkie, jak całe łańcuchy gór, —
winą w głąz skamieniałych,

Są niewidzialne, a zabójcze, jak ostrza strzał
jadem śmiertelnym zatrutych,

Całe korowody, całe tumany, — są,

Ale to grzechem nie jest...



OD PROGA

Albowiem oddać nam trzeba ziemi, co ziemskie, a zaś słońcu, co słoneczne, — a zaprawdę wszystko, co na ziemi do raju podobne, — urągowiskiem jest tylko i majakiem...

O Chanaan — Chanaan...

Wicher straszny, wśród gwiazd oszalały wicher... Całe morze mgieł pędzi przed sobą... Ogromny świetlany tuman. Rwie się brzegami na strzępy, rzędzie, tężeje, płynie, płynie szerokim, rozlewnym zatopem. Sunie ku mnie... Dławiący, wilgotny opar zalewa mi pierś...

Oddechu!...

Słyszysz trzask łamanych piór?

To dusza moja pada na złom, ciśnięta o ziem, straszliwą potęgą wichury...

Ale nie ginie. Nieśmiertelna istność, niespożyta moc trwania, daną jej jest przed czasy.

Wie o tem i jęczy.

*

Mgły wichrem podarte opadły i powietrze jak kryształ czyste, zalewa znowu przestrzeń.

Turnie stoją prostopadle, w srogiej martwo-
cie zakrzeple. Jest w nich tępe okrucieństwo rze-
czy martwych i ludzka prawie obojętność.

Stromą, okruciami granitu pokrytą zboczą,
dążę w górę. Bładozielone glazy chrobocą i dźwię-
czą mi pod stopami. Staję.

Jest cicho, — tak cicho, że słyszę wyraźnie
miarowy, dźwięczny szelest kropli spadającej ze
skały, na podłużny błam śniegu, leżący w cieniu,
u jej stóp...

Dźwięczny, miarowy szelest kropli.

Nademną wysoko szczyt...

Poco, poco ja tam idę, skoro wiem, że wró-
cić muszę?!

Coś rwie mnie jednak, coś woła, jakaś za-
tajona, przemożna Moc...

Podemną głąb, nademną szczyt!... Już blisko.

Mój, mój własny, rodzony świat, świat zawrotnych wyżyn i zblakanych mgieł, świat wichrów oszalałych i łamanych piór!...

Mój świat!

*

I widzę oto nad sobą, tratwy obłoków płynące wysoko, przez cichą topliwą błękitu, a na nich cienie jasne, ze światła i powietrza wytchnięte, z których każda, jest myślą słoneczną, — umarłą, zdeptaną na ziemi...

Bezużyteczne, — zgaszone...

Widzę tratwy obłoków, a na nich te widma świetlane, w Nieśmiertelność, — ku słońcu płynące.

Poznaję was, krwawe kwiaty mego ducha!

Poznaję was, wy rajem pachnące i Wiecznością, wy jak kąkol w zbożu, — przeklęte!...

Poznaję was, zgaszone a płonące, umarłe a jak dusza moja — bezśmiertne...

I oto wracam do was, wy nocą, w popłochu piór stracone! Wracam do was, srebrzyste, skrzydlate ptaki, własne moje, krwią serca ociekłe, bezużyteczne, przeklęte, — jedyne!

Wysoko plyniecie nademną, — wysoko, —
ale ja was dosięgnę, ptaki moje, srebrzyste, wolne
moje ptaki!...

W mój rodzony, mój własny świat!...

W męce, w wysiłku, w nadludzkiem natę-
żeniu sił...

Szczyt!

*

Zsiniała w nizinach, leży mi u stóp ziemia.
Przedemną, w ścianie ciosowej wrota. Że-
lazne ciężkie odrzwia zawarte.

Za temi drzwiami ojczyzna moja, słoneczna
ojczyzna mego ducha...

Dokoła przestwór i blask.

Za temi drzwiami...

*

Kocham cię, przedwieczna, — niezmożona
ojcowizno moja!

Kocham cię, świecie duchów tworzących
a umęczonych aż do śmierci, co jak okruchy ka-
dzideł wonnych, w ogniu się własnym palą.

Świecie na tynkach kościołów przyśniony,
stażaly w szybach witraży, akordami sonat, oble-

dem fug wygrany, łamany w tężowe klejnoty
strof, górne kryształy, z głębin serc wielkich do-
byte...

Kocham cię, skrzydlata męczarni myśli, co
jak motyle barwne, wiotkie niebaczone, wylatują
z osłonek pod jesień, nieświadome, że w pierw-
szym swym locie poginą...

Kocham cię, ty świecie, co jak toń górskich
stawów, turnie nadbrzeżne, — odbijasz w sobie
wielkość czasów idących — i trwasz...

Mój własny, mój rodzony świecie!

Przed progiem wrót twoich upadam,

Przed progiem wrót twoich, bezsilne, zała-
muję ręce,

Od proga wrót twoich zapartych przedemną
— odchodzę!

O Chanaan...

*

Przez to wieczne zawieszenie wzroku na
onych wrotach zapartych i nieprzestąpionych;

Przez tę niemoc łamanych wichrem skrzydeł;

Przez tęsknotę nienasyconą, co zabija, a śmierci
nie daje;

Przez te mary bezdomne i bezimienne, co
chłodnemi oddechami ust swoich, straszły mnie
po nocach ;

Przez zadławioną rozpacz buntów, którym
wybuchnąć nie było wolno nigdy ;

Przez ciche, błyskawiczne noce natchnień,
co złotym migotem rozświetlały serce moje nie-
przytomne i w niemocy struchlałe ;

Przez te struny ręką twą, o Cieniu najmilszy,
w duszy mojej, jak na ramach harfy napięte,
a które milczenie wieczne, gwiazdą pajęczych nici
osnuwa ;

Przez mękę bezkresną istnienia ;

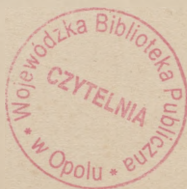
Przez wysiłki darenne i krwawe i przez ten
oto, żałośny powrót w niziny,

Odpuść ty mi, o Życie moje!....

*

Albowiem oddać nam trzeba ziemi, co ziem-
skie, a zaś Wieczności, co wieczne, — a zaprawdę,
wszystko co na ziemi do rajy podobne, urągowi-
skiem jest tylko i majakiem....

O Chanaan, Chanaan mojej duszy!



SPIS.

Szukam słów	5
Thème Varié	6
Prelud	11
Z Kolędą	15
Rondo capriccioso	21
W Świętojańską noc	26
Ballada	32
Morendo	38
Impromptu	45
Suite	53
Requiem aeternam	59
Finale	64

Z górnych ścieżek.

Pauza	71
Na fali	79
Od proga	86



